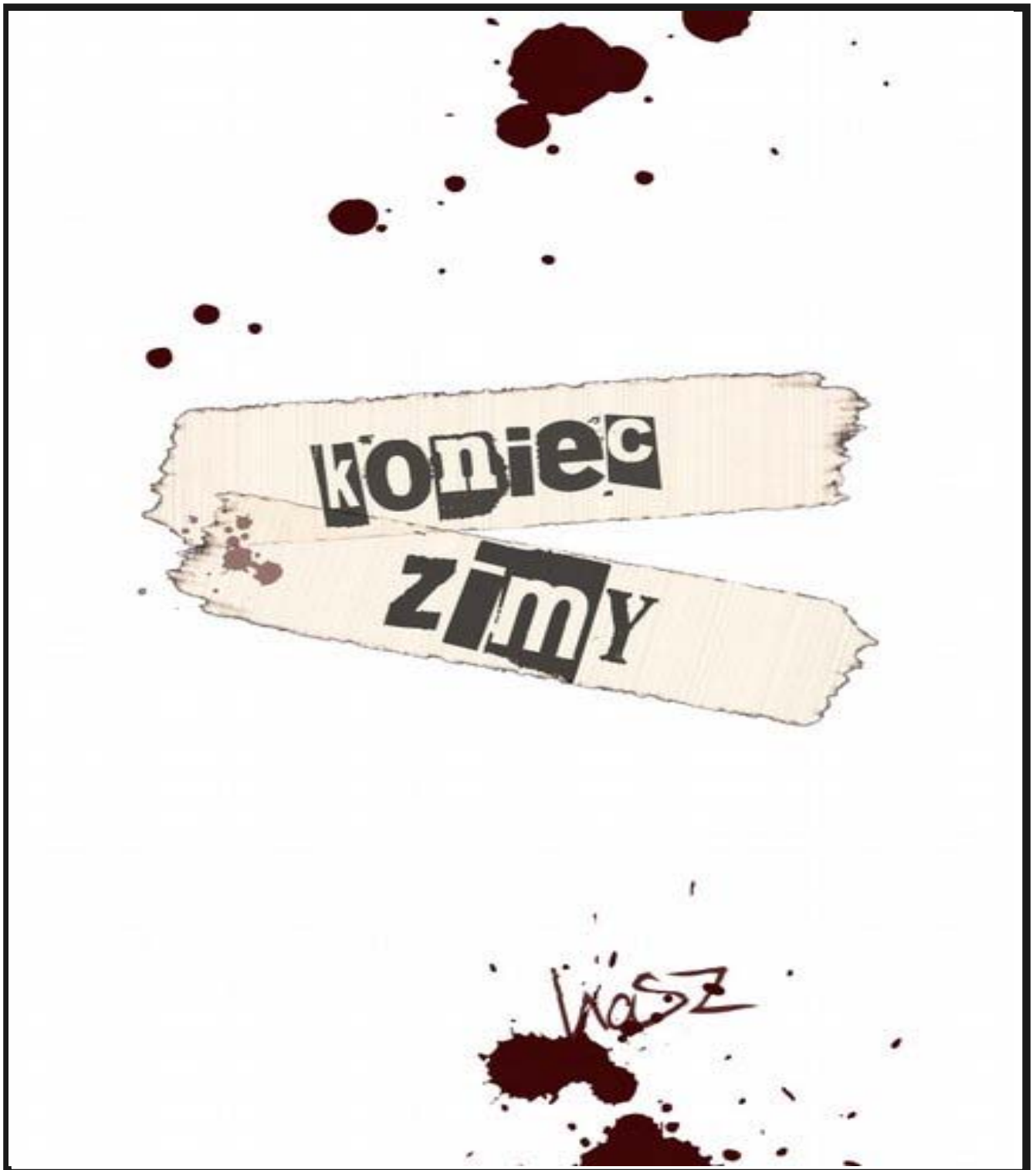


CZADEK

Luty 2007 numer 6 (38)

cena: 0 zł :)

XXVII L.O. im. Tadeusza Czackiego w Warszawie



OD NACZELNEJ

Helou.

Ohoho, coś się zmieniło, nie? Jest tylko jeden wstępniak. Jejku jej, czyżby Czadek nie miał już dwóch rednaczy?! - Brawo, kochani! Wspaniała dedukcja! Rafałowi już się nie chce, jak sam mówi, a ja osobiście zupełnie nad tym nie ubolewam, bo wszelkie problemy i nieporozumienia w redakcji wynikały z braku współpracy między nami. Co więcej, jako jedyna rwałam sobie włosy z głowy, starając się dotrzymać terminów, i dotrzymywałam ich, by potem świecić oczami za to, że Czadek stał się nagle dwumiesięcznikiem i notorycznie się spóźnia. Sprawa została więc postawiona na ostrzu noża i Rafał miał zostać pozbawiony posady. Przemysłał, wzruszył ramionami, rzekł "nie chce mi się" i odtąd już oficjalnie wszystko jest na mojej głowie.

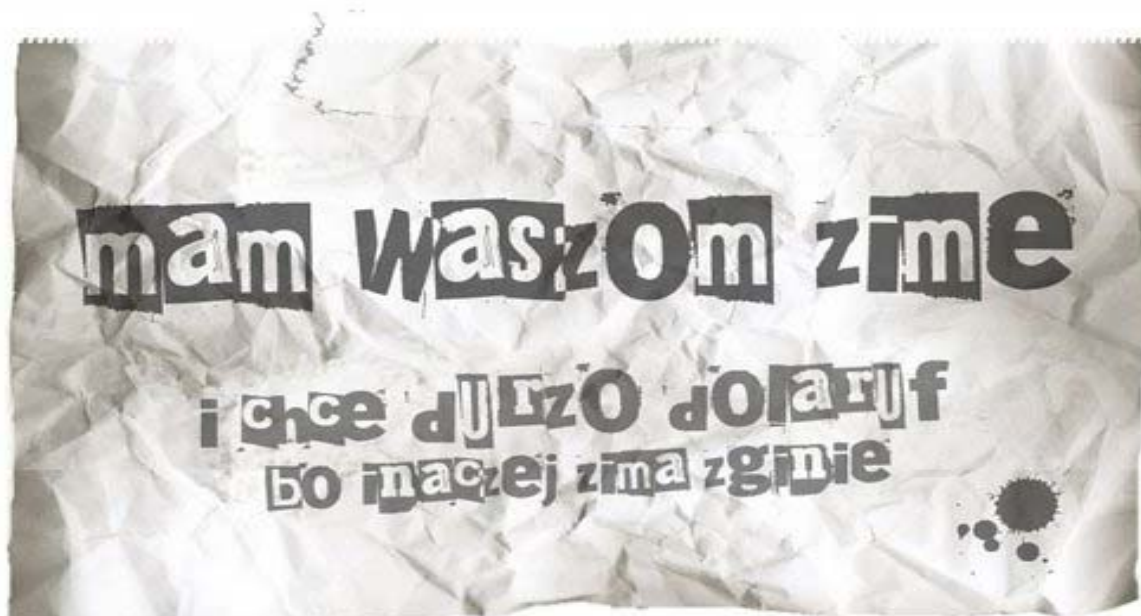
Oto mam zupełnie wolną rękę i numer marcowy będę mogła "zrobić" już bez nerwów i przeklinania, na czym świat stoi. Ze stałą redakcją. Ze zmianą grafiki i, być może, nazwy (marzę o tym, ale sprawę należy przedyskutować z Siłami Wyższymi). Z bardziej sensownymi tekstami, bez typowych zapychaczy ("cokolwiek, byle tylko w terminie!"). Nie widzę sensu w istnieniu tej gazety, jeśli nie będzie ludzi, którzy chcą ją tworzyć, i ludzi, którzy chcą ją czytać. Skoro nasza Szkoła jest taka niepowtarzalna, dlaczego Czadek miałby o tym nie świadczyć? - Sprawdzę to w tym miesiącu, starając się zorganizować zespół młodych, zdolnych i chętnych. "Czadek potrzebuje metamorfozy" - mówiłam we wrześniu. Lepiej późno niż wcale?

GOODBYE!!!



I kolejna sprawa. W poprzednim numerze wściekałam się, że nie ma zimy i wspominałam o niecierpliwym oczekiwaniu na śnieg. Doczekałam się. Zima, oczywiście, pojawiła się... I zaczęła mnie z miejsca denerwować. Zacinający mróz. Nieznośnie śliskie chodniki. Wszechobecny chłód. Opóźnienia w komunikacji miejskiej. I ten cholerny śnieg. Ten cudowny, wstrętny, biały puszek, który ani myśli przestać padać. Który miksuje się z błotem, dostarczając okropnych wrażeń estetycznych. Który wpada do oczu wraz dzikim, lodowatym wiatrem. Mało tego! Absolutny brak słońca, ewentualnie sporadyczne przebłyski... i ten niedosyt zaraz po nich.

Dlatego sorry, ale:



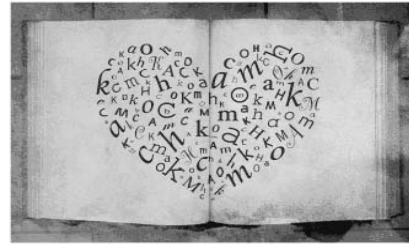
Mała :)

WALENTYNKI

Obchodzić? Nie obchodzić?
 Oto jest pytanie.
 Zapisuję je na kartce,
 Z uwagą patrzę na nie.
 Przypominam sobie odwieczne
 Moje święte oburzenie
 Na samą świąt tych nazwę,
 Lub chociażby wspomnienie.
 Myślę o pogardzie odwiecznie odczuwanej
 Dla wszystkich serduszek
 I zwierzątek natury pluszanej.
 Jednakowoż fakt pewien,
 Świata niedawno objawiony,
 Każe mi na to święto
 Spojrzeć z innej strony.
 Więc oto parę mych przemyśleń,
 Skrupulatnie spisanych,
 Z wielki wysiłkiem
 Z głębi mózgu wygrzebanych.
 W chwili teraz obecnej
 Składam ja je właśnie
 Przed szanownych czytelników.
 Przyjmijcie je przyjaźnie...

No właśnie. Rozpatrując tę kwestię, byłam przekonana, że jest to święto w 90% wykreowane przez Wujka Samo Zło. Jednak, ponieważ bardzo odpowiedzialnie traktuję czytelników, postanowiłam upewnić się, jak to z tym świętem było, żeby przypadkiem jakiegoś głupstwa Wam nie wciskać. Zajrzałam więc do leksykonu PWN i starego, dobrego, sprawdzonego „Słownika mitów i tradycji kultury” Władysława Kopalińskiego. W PWN-ie średnio warta uwagi, ale zawsze, wzmianka o, za to u pana Władysława, cóż, przeczytajcie sami:

„(...)Dzień św. Walentego, ang. S. Valentine's Day. Wg lud. obyczaju angielskiego, w tym dniu młodzi ludzie wybierają sobie „sympatię”, lubego a. lubą, miłego a. miłą, przyjaciela a. przyjaciółkę płci odmiennej, na cały rok i przesyłają wybranej osobie upominek.”



Obyczaj ten, którego pochodzenie jest nieznane, rozpowszechniony był co najmniej od 1476. możliwe, iż ma on związek z wierzeniem ludowym, że 14 II ptaki śpiewające zaczynają się na Wyspach Brytyjskich łączyć w pary.

"Dzień dobry, dziś święty Walenty,
 Dopiero co switać poczyną,
 Młodzieniec snem leży ujęty,
 A hoża doń puka dziewczyna.
 Poskoczył kochanek, wdział szaty,
 Drzwi rozwarł przed swoją jedyną,
 I weszła dziewczyna do chaty,
 Lecz z chaty nie wyszła dziewczyną."

W. Szekspir, *Hamlet*, 4,5; piosenka obłąkanej Ofelii; tł. J. Paszkowski.

Cóż, a więc wszelkie misie, kokardki, serduszka i ogólny zalew psychiki społeczeństwa kolorem różowym to wina Wujka, lubiącego biało-czerwone paski i gwiazdki (białe) na tle niebieskim, ale, ALE samo święto jest faktycznym obyczajem ludowym. Nie czuję się w mocy konkurowania z, lub co gorsza, negowania tradycji, a więc podejmuję decyzję, by jakoś to święto uczcić. No i powstaje problem – co? Co dać? Bo choć może i nie mam zamiaru tak w 100% zastosować się do rady wieszczka ;) to jednak jakiś drobny upominek - owszem, tak, bardzo chętnie. I tu zaczynają się schody – obdarowywany jest płci męskiej. Jak wiadomo, z prezentami dla facetów zawsze są problemy, zwłaszcza dla tych, którzy nie są w żadnej z kategorii: dziadek (można machnąć jakąś laurę), tata (jest ciężko, ale dobra książka lub kieliszek do wina ratują sprawę), młodszy brat (klocki LEGO lub cokolwiek, byleby elementem tego była jakaś broń). No bo co w końcu, kurczę blade ??? W ramach żartu, wielkie różowe coś? Uszłoby, ale nie...Jakieś słodycze? Nie...Eeee rękodzieła odpadają, wszelkie paraartystyczne przedmioty tym bardziej...coś, co lubi, może - ale co??? W coraz większym zapętleniu oczekuję 14-go, z trwogą wręcz...

****(Czytelnicy, wstawcie tu sobie jakąś uroczą melodyjkę, oznajmującą, że minęło dni parę, w tym i 14)****

Uff, już po. W końcu się udało - systematycznie niszczone przez różne ekhm powodzie i inne kataklizmy szare komórki zadziałały. Ostateczny efekt pozostanie wieczną zagadką i tajemnicą autorki, jednak podobno nie było aż tak źle ;), w związku z czym zaakceptowałam Walentynki jako święto do traktowania z przymrużeniem oka, ale miłe i warte kultywowania..., ach, i ciekawie było zobaczyć, jak wielu osobom jest ładnie w czerwonym, którego na co dzień nie używają ;). Wszystkim ludziom którzy mają cokolwiek wspólnego z Czackim, życzę wyjątkowych, udanych, niebanalnych walentynek za rok i w dalszej przyszłości.

Matylda



KONCERT WALENTYŃKOWY

Miłość jest pięknym i jednocześnie prostym słowem. Często zastanawiamy się nad jego znaczeniem, myślimy o tym, jakie powinno być to uczucie.

Dokładnie tymi słowami zaczyna się moje wypracowanie z polskiego, gdzie, notabene, profesor Bajda z pewnością znajdzie około tuzina błędów wszelakich. Pomimo tego pomyślałam, że wstęp ten będzie adekwatny do okazji. Jest nią znane, budzące uczucia ambiwalentne, święto, które powstało ponoć tylko z powodu stagnacji handlowej pomiędzy Bożym Narodzeniem a Wielkanocą. (Zaznaczam, że użycie słowa „ponoć” sugeruje, że jest to informacja niesprawdzona, więc proszę się nie oburzać. W razie czego to się wytnie.) Mowa, oczywiście, o... Walentynkach. To dzień, w którym powietrze przesiąka miłością, nad głowami par latają rozświegotane wróbelki, a na czołach nieszczęśliwie zakochanych pojawiają się podobno dwie pionowe zmarszczki. Po prostu pięknie.



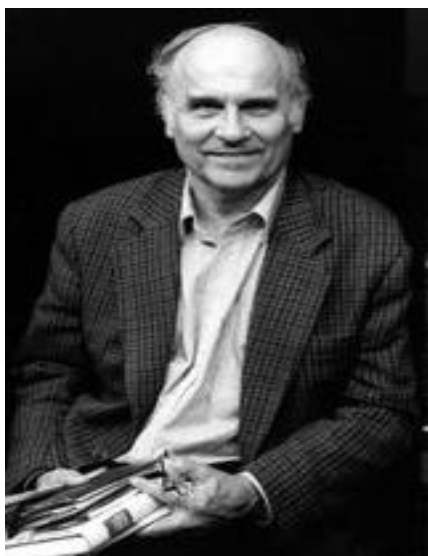
Nie da się ukryć, że 14 lutego rokrocznie skłania do refleksji i śmiałych wyznań. Przepelniające nas pokłady czystej miłości muszą znaleźć jakieś ujście... A co lepiej pozwala na wyrażenie uczuć niż muzyka? Zapewne dlatego Koncert Walentynkowy okazał się wydarzeniem bardzo udanym, bo pożądanym. Liczną widownię trzeba było podzielić na dwie tury, a to z powodu ogromnej liczby chętnych, odwrotnie proporcjonalnej do wielkości naszej sali gimnastycznej. Dla występujących nie stanowiło to jednak żadnego problemu, wszak byli w swoim żywiole!

W środę można było podziwiać popisy solowe i instrumentalne, ze wsparciem szkolnego chóru pod patronatem profesora Bielińskiego i kierownictwem Marty Podobas, oraz deklamacje wierszy o tematyce... wiadomej. Co ciekawe i niezwykle miłe, sama powróciłam wspomnieniami do Festiwalu Teatralnego. To wszystko za sprawą chwilowej reaktywacji sekcji Jaha, która entuzjastycznie sygnalizowała swoją obecność w rzędzie numero uno, ku uciesze bądź szczeremu rozrzewnieniu innych. Publika dała się ponieść emocjom, achom i ochom. Profesorskie oblicza też nie pozostały obojętne, rozanielone uśmiechy gościły na twarzach szanownego grona! Magiczna atmosfera rodem z hollywoodzkich love-story zagościła na chwilę w naszej Szkole i spowodowała, obserwowane na korytarzach do końca dnia, niekontrolowane wybuchy radości... o to właśnie chodziło.

Viva le jour de Saint-Valentin!

*katarzyn, vel kaś.
znaczy ja.*





Ryszard Kapuściński, jeden z najwybitniejszych dziennikarzy i publicystów XX wieku, autor znakomitych książek i reportaży, by wymienić choćby "Imperium", "Szachinszach", "Heban", "Podróże z Herodotem", nominowany do literackiej Nagrody Nobla, autor najbliższy memu sercu i umysłowi, zmarł. Jak zwykle, gdy wraz ze śmiercią bliskiej nam osoby tracimy część siebie, pojawiają się pytania, pytania bez odpowiedzi. Umierają ludzie wielcy, inteligentni, głęboko moralni - Jeziorański, Lem, Beksiński, Kapuściński - podczas gdy stetryczałe miernoty i ludzkie zera, takie jak, by daleko nie szukać, Wojciech Jaruzelski, wciąż trzymają się życia. Dlaczego?

Jednym z moich marzeń była rozmowa czy też wywiad z panem Ryszardem - teraz, wraz z nim, marzenie to umarło. Jestem jeszcze młody, nieoswojony ze śmiercią. Przez mgłę pamiętam umierającego pradziadka, mocniej w mojej pamięci zapisał się wyraz twarzy prababci, leżącej już w trumnie. Śmierć jest nieodłącznym elementem życia, wpisany w nie zakończeniem i podsumowaniem, bez którego samo życie byłoby niepełne. Nikt tak naprawdę nie jest pogodzony ze śmiercią - zawsze walczymy o jeszcze chwilę, jeszcze jeden oddech, jeszcze jedno spojrzenie, jedno uściśnięcie dłoni, zawsze jest za wcześnie, za wcześnie.

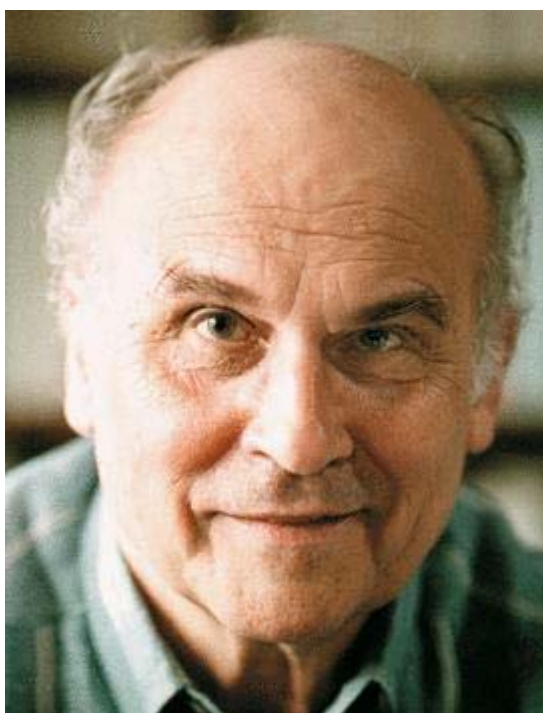
Pan Ryszard Kapuściński był i jest dla mnie wzorem, zarówno jeśli chodzi o drogę życiową, jak i język, stylistykę czy optykę jego twórczości. Chciałem - chcę - być taki jak on. To jemu zawdzięczam rozbudzenie we mnie pragnienia podróży, jemu zawdzięczam uświadomienie sobie umysłowości antyku greckiego, to dzięki niemu zapragnąłem zostać dziennikarzem. Teraz, gdy już trochę dojrzałem i zdałem sobie sprawę z tego, czym jest w większości przypadków dziennikarstwo i ile ma wspólnego z nim i jego warsztatem, nie jestem pewien tej decyzji. Lecz nie wątpiłbym o tym, gdybym nie został pokierowany przez jego twórczość. I za to mu dziękuję.

Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą. Boli mnie, że nie mam czasu na to, co sobie najbardziej cenię. Trzeba to jak najszybciej zmienić. A jedyne, co mogę zrobić dla pana Ryszarda, to oddać mu cześć, przychodząc na pogrzeb i studiując jego myśl. Człowiek istnieje tak długo, jak długo jest obecny w myślach czy wspomnieniach innych. Ryszard Kapuściński pozostawił po sobie niezatarty ślad, drogocenne dziedzictwo - a naszym zadaniem jest dbać o nie i przekazać je następnym pokoleniom. Mój syn dostanie ode mnie wszystkie książki mistrza Kapuścińskiego.

"Do tego, żeby uprawiać dziennikarstwo, przede wszystkim trzeba być dobrym człowiekiem. •li ludzie nie mogą być dobrymi dziennikarzami. Jedyne dobre usiłuje zrozumieć innych, ich intencje, ich wiarę, ich zainteresowania, ich trudności, ich tragedie."

Nie uważam się za dobrego człowieka, tym bardziej za dobrego dziennikarza, choć bardzo pragnąłbym nim być. Dlatego właśnie chcę się uczyć od pana Ryszarda Kapuścińskiego, chcę zrozumieć - dobrą duszę i dobrą Sztukę.

Rafael



"Nie chodzi mi nigdy o zwykłe gromadzenie faktów..."

MARYSIA.

Na „Marię Antoninę” poszedłem przypadkiem – szczęśliwie miałem trochę pieniędzy (teoretycznie na obiad), a nie chciało mi się iść na dodatkowe zajęcia z francuskiego. Jedynym filmem (oprócz „Borata”, którego oglądałbym 3 razy), granym w najbliższym kinie i w odpowiedniej godzinie, okazała się właśnie „Maria Antonina”.

Gdy odsiedziałem swoje i przeczekałem największą zbrodnię, dokonaną na kinematografii, czyli reklamy, zaczął się seans. Pierwsza scena, która jest w sumie niezwiązana fabularnie z resztą filmu (przedstawia odpicowaną Marię Antoninę, leżącą na sofie, a obok niej służkę) uderza od razu



nie s z a b l o n o w y m podejściem do tematu muzyki – zamiast smętnych smyczków, na które byłem przygotowany, leci jakiś indie pop-rock (teoretycznie te dwa człony się wykluczają, ale tego trzeba posłuchać). Brawo za pomysł, ale gorzej z realizacją – ów rock mimo swojej chwytliwości

był co najwyżej mocno przeciętny. Mimo wszystko można już zacząć się spodziewać zabawy konwencją. Na próżno, gdyż muzyka (w dalszym ciągu utrzymana w tym samym stylu) to jedyny element tego filmu, który wyróżnia go na plus spośród innych na poły biograficznych.

Właściwa fabuła zaczyna się w momencie, gdy niewinna i dziewicza Maria Antonina dowiaduje się od swojej potężnej i sędziwej matki, Marii Teresy von Habsburg, że ma zostać wydana za męża. Rozstanie, wyjazd – piękna metafora przemijania. Już to gdzieś widziałem. Następnie: och, zderzenie z inną, sztuczną rzeczywistością XVII-wiecznej Francji. Niepewność i nadzieja, łamanie niepisanych zasad z winy swojej bezpośredniości i otwartości. Brzmi prawie jak opis fabuły z podrzędnej komedii romantycznej z „girl next door” w roli głównej. Dalej sprawa ma się podobnie – dziewczyna, czując się wciąż obco, wychodzi za męża za delfina Ludwika, przyszłego Ludwika XVI. I tutaj zaczynają się problemy. W pierwszej części filmu nacisk jest położony na problemy z poczęciem potomka. Ludwik XVI zostaje tu przedstawiony jako reprezentant nurtu aseksualnego albo nie w pełni mężczyzna, albo jeszcze ktoś. Fakt historyczny – przez kilka lat to małżeństwo było bezdzietne, tylko z racji stulejki (wyleczonej operacyjnie) króla Francji. Zaczynamy mijać się z prawdą.

Potem jest coraz weselej: szeroko znana skłonność Marii Antoniny do kolekcjonowania kochanków (w filmie przedstawiony jest jeden) zostaje prawie wprost wyjaśniona tym zagubieniem i, nie bójmy się tego słowa, niedorobieniem psychicznym męża. Małe nadużycie? Jej rozrzutność jest bagatelizowana itp. Itd. Nie ma nawet co pisać na temat dalszego ciągu filmu, bo jest w dużej mierze o niczym – tylko kończy się początkiem rewolucji francuskiej i powtórką metafory przemijania. Nie można tu nawet użyć słowa niedosyt, to jest po prostu rozczarowanie. Grunt, że aż bije z ekranu prawda żywa – ona była tak niewinna, a zniszczyli ją ludzie. Och. Dobrze, jeśli banalne wnioski przedstawia się w niebanalny sposób, lecz o tej produkcji nie można tego powiedzieć.

To, co ratuje tę produkcję, to montaż – jest naprawdę. Obrazy są bardzo plastyczne i dobrze współgrają z muzyką, która mimo tego, że nie jest górnolotna, pasuje. Gra aktorska jest w porządku, lecz poza główną rolą nikt się nie wybija. I dla wszystkich facetów – jeśli ktoś lubi Kirsten Dunst, to marsz do kina. Wygląda olśniewająco. Jest też trochę nagości podanej w sposób wprost smakowity i nie wulgarny – tutaj osiągnięto złoty środek.

Reasumując – film jest po prostu przeciętny. Z jednej strony kiepska, lecz inna muzyka i Kirsten Dunst (wyleczyła się widać z syndromu dziewczyny Spidermana), a z drugiej lanie wody z, co gorsza, „delikatnym” fałszerstwem na tle historycznym – nie wiadomo, czemu to miałyby służyć. Możliwe, że to po prostu kobiecy film i ja nie potrafię odnaleźć w nim głębi. Ale coś banalnego rzadko kiedy okazuje się jednak prawdą objawioną.

Bolesne jest tylko to, że to film Sofii Coppoli – córki Francisca Forda Coppoli, arcyreżysera. Mimo tego, że ona też ma na swoim koncie kilka uznanych przez krytykę produkcji, tego nie da się podciągnąć pod nazwisko. To jeszcze nie jest upadek, ale wyraźne potknięcie. Oby do następnego?

Alex



WILCZA KREW...

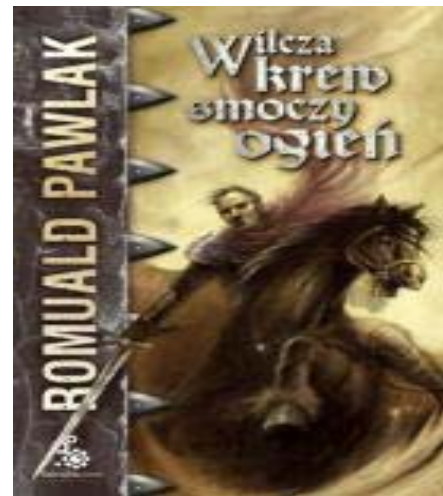
Łączenie motywów fantastycznych z faktami historycznymi to znany i popularny motor napędowy wielu powieści i zbiorów opowiadań. Najczęściej autorzy w ten sposób albo próbują wytłumaczyć niejasności, które kronikarze starali się przemilczeć, albo wręcz tworzą alternatywną drogę rozwoju wydarzeń. Wystarczy chociażby wspomnieć Szczepana Twardocha i jego „Obłąd rotmistrza von Egern” (typ pierwszy) bądź Jacka Piekarek ze swoją „Przenajświętszą Rzeczpospolitą” (typ drugi). Romuald Pawlak wymierzył zbiorem „Wilcza krew, smoczy ogień” dokładnie w sedno pierwszej ze wspomnianych kategorii i spróbował odkryć przed czytelnikami jedną z możliwych prawd, kryjących się za nieprzebytą kurtyną historii.

Niestety, o ile Pawlakowi udało się mistrzowsko sprostać założeniom opowiadań quasi-historycznych, o tyle od strony suspensu jest już znacznie gorzej. Za przykład podam otwierającą zbiorok „Armię ślepców”. Wprowadzeniem do tej historii stała się przytoczona we wstępie prawdziwa anegdota, która... w stu procentach zdradza nie tylko rozwinięcie fabuły, ale i jej zakończenie. Jak się zapewne domyślicie, o jakimkolwiek zaskoczeniu nie może być w tym wypadku mowy. Całe szczęście, jest to jedyny aż tak dramatyczny przykład – reszta wprowadzeń nie odkrywa już całej zawartości opowiadań, a... tylko jej część. No cóż...

To nie jest jedyny zarzut wobec treści. W przypadku większości opowiadań miałem silne wrażenie, że zakończenie przyszło zdecydowanie zbyt szybko - jeszcze przed tym, jak akcja zdążyła nabrać rozpędu. Długo przed tym. Względnie usatysfakcjonowała mnie historia o rodyjskim smoku i jego pogromcy, Dieudonne de Gozonie, opisana w „Różach w maju”. Niestety, i w tym wypadku przebieg wydarzeń był łatwy do przewidzenia.

Nie można jednak Romualdowi Pawlakowi odmówić sprawności w posługiwaniu się językiem ojczystym. Fakt, trafiały się dziwnie niezręczne zdania, ale wszystkie opowiadania i tak czytało się bardzo lekko. Żałuję jedynie, że wszystkie aspekty, związane z polityką (której jest sporo w niektórych z przytoczonych historii), zostały potraktowane tak skrótowo. „Wiedźmińskie” narady arcyszpiegów zaszerwowane niegdyś przez Andrzeja Sapkowskiego, nadal pozostają niedoścignionym ideałem!

Dużym atutem zbioru opowiadań jest jego... wydanie. Zdaję sobie sprawę, że nie było to już osobistą zasługą Pawlaka, ale obok projektu okładki po prostu nie sposób przejść obojętnie. Piotr Cieśliński (odpowiedzialny m.in. za „Zakon Krańca Świata”) ponownie dał pokaz swoich umiejętności. Stworzona przez niego grafika świetnie obrazuje atmosferę całego zbioru. Całkiem nieźle wpasował się również Jan J. Marek ze swoimi oszczędnymi rycinami. Poszczególne elementy bardzo dobrze się dopełniają.



Mam wrażenie, że gdyby każde z opowiadań zostało bardziej rozwinięte i dopieszczone, to „Wilcza krew, smoczy ogień” byłby naprawdę godny polecenia. Niestety, przez niemalże zupełny brak napięcia i zaskoczenia, lektura robi wrażenie jałowej i bezcelowej. Ani nie dowiadujemy się niczego wybitnie frapującego (wszak, to „jedynie” fikcja upchnięta gdzieś w próżni powstałej między faktami historycznymi), ani nie zostajemy porwani przez wartką akcję. Zapewne, pracą Pawlaka najbardziej zainteresują się zapaleni historycy, którzy lubią takie eksperymenty. Nawet jeśli nie są one do końca udane.

Tomek „KoZa” Kozioł





STOPKA REDAKCYJNA;))

redaktor naczelna i techniczna:
Magdalena "Mała" Pawłowska, 2 b

grafika:

Zuzia "Hasz" Szyszak 1b

Walentynki:

Martyna "Matylda" Szyrle 1a

koncert 14.02:

Kasia "Kaś" Piekarczyk 1a

zawód - reporter:

Rafał "Rafael" Lorent 2b

recenzja filmowa:

Alex "axss" Sucharski 2b

recenzja książkowa:

Tomasz "Kozia" Koziół 3b

W tym miejscu pragnęłabym oznajmić,
że **zaczęłam bacznie się rozglądać za
następcą... :)**

Pani Redaktor